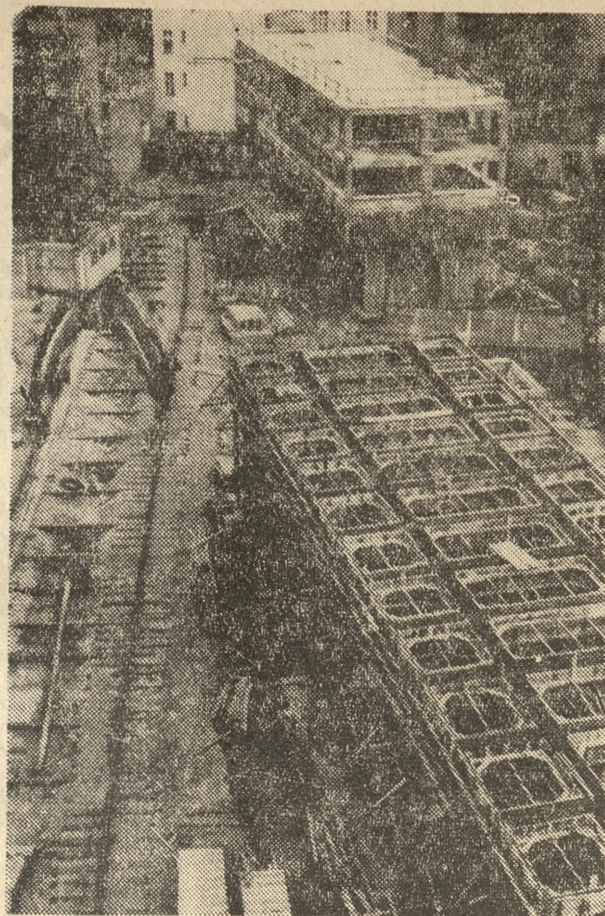




WIĘCEJ
LEPIEJ
TANIEJ

Piotr Chojnacki

POZNAŃSKI EKSPERYMENT BUDOWLANY

Od wielu lat zadania produkcyjne dla przedsiębiorstw budowlanych zwykło się u nas ustalać miernikiem tzw. „globalnego przerobu wartościowego”, do którego dostosowuje się fundusz płac, a więc także plany zatrudnienia, wydajności pracy itp. System ten, aczkolwiek wygodny z punktu widzenia sprawozdawczości, wszelkich rozliczeń i porównań, wywołuje sprzeczność między interesami społecznymi i przedsięwzięciami.

Spółeczeństwo chce, aby przedsiębiorstwa budowlane, za te same pieniądze stawiały więcej domów, szkół i fabryk. Jednak bodźce „globalnego przerobu wartościowego” pchają przedsiębiorstwa wręcz w odwrotnym kierunku: do unikania postępów i tanich rozwiązań technologicznych, do preferowania robót drogiej i materiałochłonnej. Dlaczego?

Oddajmy głos osobie kompetentnej w tej sprawie — naczelnemu dyrektorowi Poznańskiego Zjednoczenia Budownictwa — inż. Wacławowi Szmausowi:

— W wyniku stosowania miernika wartości globalnej przerobu następuje zniekształcenie wielu ważnych wskaźników ekonomicznych przedsiębiorstwa, a szczególnie wskaźnika wydajności pracy i mocy przerobowej. Przy obniżeniu kosztów budownictwa miernik ten wykazuje spadek wydajności i mocy przedsiębiorstwa, choć w rzeczywistości wcale tak nie jest. Jednak przedsiębiorstwo, które buduje taniej, formalnie osiąga gorsze wyniki od tego, które buduje drożej. Może więc ono być pozbawione premii, a niekiedy nawet funduszu zakładowego.

Budowlani (i nie tylko budowlani) już dawno wykazywali absurdalność takiego systemu planowania. Władze próbowały różnych metod niwelowania antybodźców do taniego budowania. Było to jednak przysłówowe przykładanie plastra na ropiejącą ranę. Dopiero przygotowania do IV Plenum KC ośmieliły resort do ruszenia samego źródła zła: miernika „globalnego przerobu” — tytułem eksperymentu i w jednym tylko zjednoczeniu. Wybrano Poznań.

Poznańskie Zjednoczenie Budownictwa przeszło na nowy system planowania i rozliczania zadań formalnie z dniem 1 lipca 1964 r. Zamiast miernika „globalnego przerobu”, zaczęto stosować miernik „normatywnej wartości przetwarzania”. Eliminuje on z wszelkich obliczeń wartość użytych materiałów bezpośrednich, a tym samym powinien ukrócić pęd do drogiego budowania. Ilość i rodzaj użytych materiałów nie powinny zniekształcać pozostałych wskaźników ekonomicznych przedsiębiorstw.

Od tego czasu minął przeszło rok.

Jakie są wyniki poznańskiego eksperymentu budowlanego? Już wiadomo, że pozytywne, lecz jeszcze nie w pełni wymierne. Wszystkie jego zalety będzie można ocenić dopiero wówczas, gdy obejmie on swym zasięgiem cały cykl budowy od projektowania i kosztorysowania, przez wykonawstwo do rozliczeń końcowych. Na to trzeba jednak więcej czasu.

Rok wystarczy może dla obiektów mieszkaniowych. Dla przemysłowych jednak nie. Te buduje się dłużej. Poza tym data ogłoszenia poznańskiego eksperymentu, nie jest równoznaczna z jego faktycznym rozpoczęciem.

Eksperyment ogłoszono w lipcu, a więc w połowie roku, w pełni sezonu budowlanego i planu opracowanego według starych zasad. Raptowne przejście na zupełnie nowe tory myślenia i działania dokonywało się więc z wielkim trudem. Tym bardziej że np. instrukcja wykonawcza resortu do tego eksperymentu ujrzała światło dzienne dopiero 5 listopada, a więc wtedy, kiedy budowlani zajęci byli przede wszystkim wykańczaniem planu rocznego.

Bardziej przydatne do oceny może więc być dopiero pierwsze półrocze br. Ale także niezupełnie. Bo dokumentację realizowanych w tym okresie budów, ich kosztorysy, technologia i zestawy materiałowe opracowane były dużo wcześniej, jeszcze nie z myślą o eksperymentach. Poza tym plan funduszu płac na I kwartał br. musiał być sporządzony według starych zasad i następnie rozliczany wstecz. Ministerialna instrukcja o zasadach gospodarowania placami ukazała się bowiem dopiero 10 czerwca br. Nie wszystkie bodźce eksperymentu mogły więc w tym okresie w pełni być wykorzystane.

Na domiar złego, niemal cała administracja i dozór techniczny nie miały czasu na wyjaśnianie ludziom sensu eksperymentu, musiała bowiem w tym czasie wykonywać wielce czasochłonną pracę przeliczeniową wszystkich składników planu, a poza tym prowadzić rachunki w dwóch wersjach — według starych zasad i nowych.

Niemniej wyniki pierwszego półroczka już coś mówią.

Zjednoczenie wykonało w tym okresie plan rzeczowy, nie zrealizowało natomiast planu wartościowego. Jest to zjawisko znamienne. Pozwala bowiem mniemać, że słabnie pęd do stosowania drogiej technologii i drogich technologii, że budowano taniej. W pierwszym półroczu zmniejszyła się także liczba niewykończonych budów. To zjawisko może także cieszyć, bo znaczy że budowlani starają się budować lepiej i że im się to opłaca.

A więcej, lepiej i taniej — oznacza przecież to, o co nam wszystkim chodzi.

tygodnia

DODATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 206 3. X. 1965 r. Rok V

„Wróciłem niedawno z wakacji spędzonych u krewnych na wsi. I ciągle jestem pod wrażeniem tego, co tam widziałem. W każdym niemal domu motor, pralka elektryczna, meble na wysoki połysk, a nawet samochody chłopcy kupują. Im teraz żyć nie umierać. Forsy mają jak lodu, a jeszcze teraz podnieśli ceny za zboże. Czy nie odbywa się to z krzywdą dla mieszkańców miast? Bo mnie się wydaje, że ten symboliczny bochen chleba wręczany podczas dożynek Władzy sławowi Gomulce nie jest dzielony sprawiedliwie”.

(z listu A. M. z Poznania)

Różne mogą być spojrzenia na wieś i jej życie. Jedno z nich wynieśliśmy ze szkolnej lektury dzieł Staszica, Konopnickiej, Prusa czy Żeromskiego. Jest to obraz wsi słomą krytej, półnagich, zabiedzonych dzieciaków, bosych i obdartych chłopów poganiających wychudzone szkapiny. Przeciwnieństwem tego jest zrodzony ostatnio mit o „nadzianym forsą” chłopie, szastającym pięcetonowymi wiewiórkami w wielkiej gospodzie; mit o rolniku zapędzającym na czerwonej „Jawie” bydło na pastwisko i gospodynę w nylonach, ubijającą masło w elektrycznej pralce.

I jedno i drugie spojrzenie jest groteskową prezentacją pewnych stereotypów, nie będących żadnym reprezentantem tego co na wsi dzisiejszej jest prawdziwe i autentyczne. I jeden i drugi mit wyrasta z nieznajomości złożonej problematyki wsi A. D. 1965.

A prawda jest taka, że rzeczywistość chłopu polskiemu wieszcie się obecnie dobrze, jak nigdy dotychczas. Pytanie tylko, czy teraz stał się takim Krezusem, czy też w minionych czasach żył tak nędźnie? Jeśli odległe wydają się nam ponure obrazy życia wsi z czasów Staszica, to przecież zaledwie 30 lat temu prof. Chałasiński ujawnił w pamiętnikach „Młodego pokolenia chłopów” obraz wsi, w którym były gromady niedożywionych i nagich dzieci w barłogach, analfabetyzm, ciemnota, wszystkie odcienie biedy i społecznego upodlenia.

To dopiero socjalizm, zgodnie z tendencją postępowych przemian w całym społeczeństwie, uporał się z tysiącletnim bagażem chłopskiej niedoli. Nie oznacza to wcale, by życie rolnika stało się nagle łatwe, by nie pracował nadal ciężko — bardzo

Feliks Biłós

Bochen dzielony sprawiedliwie

ciężko w porównaniu z innymi zawodami. To jedyna chyba grupa społeczna w naszym kraju, której nie trzeba przypominać o dyscyplinie pracy. Rolnik korzysta przeważnie z prądu, nie rzadko ma motocykl i pralkę. Zadowolono się między opłatkami radio.

Ale do powszechnego dobrobytu droga jeszcze daleka. Obiektywna, pozbawiona emocjonalnych aspektów prawda o wsi polskiej jest taka, że na jedno gospodarstwo w kraju przypada średnio nieco ponad 5 hektarów użytków rolnych: dochód globalny przeciętnego gospodarstwa wynosi rocznie około 28 000 zł, z czego około 6 000 przeznacza się na remonty, ubezpieczenia, podatki itp. Z tego, co pozostanie, utrzymuje się przeciętnie 4,5 osoby, co w przeliczeniu miesięcznym wynosi mniej niż 300 zł na głowę. Owa „chuda fare” wzbogacając ziółki zarobione poza własnym go-

zynym na dachach, a ten i ów kupuje nawet samochód. Do grupy tej doliczyć należy podmiejskich właścicieli gospodarstw ogrodniczo-warzywnych, którzy w warunkach rynkowej koniunktury na te produkty wzbogacili się w stosunkowo krótkim czasie.

I tu rzecz charakterystyczna: jeśli nabycie samochodu przez zdolnego i pracowitego inżyniera, rzemieślnika lekarza czy literata — wydaje się wszystkim czymś zupełnie naturalnym, to podobne zjawisko w odniesieniu do rolnika wywołuje coś w rodzaju szoku. Okazuje się, że nasz stereotyp myślowy ciągle jeszcze tkwi, choćby podświadomie, w starych ramach. Nie brak jeszcze i takich ludzi, których oburzają widome przejawy z takim trudem zdobywanego awansu i postępu wsi. W ich odczuciu, wywołującym się chyba z aprobaty zasady nierówności społecznej, owe samochody, motocykle, murowane domy i telewizory, a nawet dziecięce wózki na wysokich kółkach mogą przynależeć wyłącznie do miejskiego pejzażu. Rzecz tym bardziej godna pożałowania, jeśli w podobny sposób myślą ludzie wywodzący się ze wsi, którzy zdobyli wykształcenie i pozycję społeczną nieraz za cenę dużych wyrzeczeń ich rodziców i rodzeństwa. To już nie fakty, nie racjonalne przesłanki rodzą tego rodzaju postawy. Bo proste i logiczne rozumowanie wskazuje, że materialny postęp wsi leży jak najbardziej w interesie również miejskiego społeczeństwa i miejskiej kieszeni. Nie trzeba przecież zbytniej docieklowości, by odkryć współzależność między spadkiem opłacalności chłopskiego trudu a okresowymi brakami niektórych produktów rolnych w mieście.

Decydując się na podwyżkę cen zbóż, dalekowzroczna polityka ekonomiczna państwa zareagowała prawidłowo na sygnały, mówiące o nierentowności upraw zbożowych oraz dysproporcji między rozwojem hodowli a zasobami paszowymi. Majątku na tej podwyżce rolnik na pewno nie zbije. Ale każdy hektar przyniesie mu paręset złotych więcej. Łatwiej mu więc będzie kupić nawozy czy maszynę, wyremontować lub zbudować dom czy oborę. A przede wszystkim będzie miał bodziec do jeszcze wytrwalszej pracy, by wydobyć z ziemi coraz więcej. A to jest już interes nie tylko jego własny, ale ogólnospołeczny.

Oto dlaczego nie podzieliśmy obaw podobnych tym, które wyraził w tym liście nasz Czytelnik.

Przeciwko pewnym mitom

spodarstwem — w przemyśle, budownictwie, na drogach, kolei i w lasach państwowych. Pociąga to zwykle za sobą pracę ponad siły, połączoną z dalekimi, męczącymi dojazdami. Dlatego na wsi, gdzie nie kursują przecież tramwaje, ów przysłowiowy już motocykl spełnia rolę większą niż ta, jaką się mu przypisuje w mieście. Ten środek lokomocji wyzwala człowieka z wiejskich opłotków, skracając odległość do miasta, odległości, które trzeba pokonać w słońcu i mrozie, upały i zanieczyszczenie.

Jeśli chodzi o odżywianie, to — wbrew pozorom — udział mięsa, masła, jajek, owoców i warzyw w jadłospisie mieszkańca wsi jest znacznie skromniejszy niż w mieście. Nie ze skąpstwa oczywiście czy z braku apetytu niesie się żywnościowe produkty do najbliższego GS-u. Po prostu potrzeba pieniędzy na remonty, narzędzia, nawozy. Wreszcie cegły i cement na nową oborę czy dom mieszkalny. Bo liczba ludności przypadająca na jedną wiejską izbę znacznie przekracza wskaźniki notowane w przeludnionych miastach.

Oczywiście, bardziej zamożni, a zwłaszcza oświeceni rolnicy — mistrzowie urodzaju i hodowli, mechanizują swoje gospodarstwa, budują okazałe domy z antenami telewizyjnymi.

* Dane Instytutu Ekonomiki Rolnej.

Zbigniew Szumowski

W walce z „Leibstandarte Adolf Hitler”

Wrzesień minął. Ale właśnie przed kilkoma dniami — starając się nanieść na mapę zbrodni wojennych, dokonanych we wrześniu 1939 roku, szlak działań bojowych elitarnego najeźdźcy jednostki „Leibstandarte Adolf Hitler”, analizując w związku z tym raz jeszcze „polskie” (a raczej antypolskie) wspomnienia jednego z jej czołowych oficerów, zdołałem — jak się wydaje — ustalić nie tylko sprawców wielu okrucieństw. „Odkryłem” także niemieckie źródło, bezpośrednio dotyczące okoliczności żołnierskiej śmierci jednego z bohaterów polskiego Września. Dlatego raz jeszcze, już nie rocznie, o wydarzeniach sprzed 26 lat...

*

22 sierpnia 1939 roku Hitler, komunikując swym generałom, zebranym w Obersalzbergu, o swej woli zniszczenia Polski, poucza ich:

„Nasza siła tkwi w naszej szybkości i brutalności. Dlatego wysłałem na Wschód moje Totenkopfstandarte (khoroty trupich czaszek) z rozkazem zabijania bez litości i bez pardonu wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci polskiej rasy i języka. Tylko w ten sposób zdobędziemy teren, którego tak bardzo potrzebujemy”.

W 9 dni później „wielkoniemiecki” Wehrmacht przystępuje do realizacji omych ludobójczych planów. Jedno z najsilniejszych zgrupowań wojsk najeźdźczych — armie 8 i 10

— kieruje swój cios ku Warszawie, uderzając z rejonu Śląska przez południową Wielkopolskę i Łódźkę. I właśnie na styku obu armii wprowadzona zostaje do akcji najbardziej elitarna formacja „trupich czaszek”, mianowicie „Leibstandarte Adolf Hitler”.

Ale jej pierwsze walki, rozpoczęte napaścią na polskie ubezpieczenia wzdłuż granicznej Prosy (tuż przy południowo-wschodnim cyplu ziem województwa poznańskiego), nie przynoszą spodziewanych sukcesów. Za to duże straty. Oto m.in. obydwa wozy pancerne (za którymi podąża późniejszy dowódca tej jednostki, rozbudowanej w dywizję, a ostatecznie w armię, Kurt Meyer — zwany „Panzermejerem”, zostają już wkrótce zniszczone ogniem polskiego działu ppanzn.

„Jego stanowisko ogniowe — napisze w swych wspomnieniach — „Panzermejer” — jest dobrze zamaskowane i trudne do rozpoznania. Granat za granatem przebijają stal pancerzy. Ogień kaemów omiata drogę, przydużając nas do ziemi. Słyszę jęki uwieczonych w czołgach. Nie mogę im pomóc, muszę się przypatrywać... Ci spośród grenadierów, którzy opuścili wozy, zostali rozszarpani pociskami. Jęki w czołgach są coraz słabsze... Jeszcze nie widziałem ani jednego Polaka. Mimo to, leżą już przede mną martwi koledzy”.

Być może, ów niemal perwersyjnie okrutny obraz pierwszych niepowodzeń „trupich czaszek”, ma stanowić usprawiedliwienie aktów późniejszej „zemsty”, dokonywanej masowo na cywilnej ludności licznych miejscowości, leżących na lewo i prawo od głównego szlaku działań „Leibstandarte Adolf Hitler”.

Prowadzącego do Bolesławca przez Wieruszów, Piotrków Trybunalski, Tomaszów Mazowiecki, Mszczonów. Łatwego do odtworzenia zarówno na podstawie materiałów niemieckich, jak i na podstawie zeznań świadków zbrodni wojennych, w których powtarza się motyw: mieli czarne mundury i także berety z trupimi czaszkami.

Szlak ów powinien zakończyć się wkrótce właśnie w Warszawie.

Lecz, choć dowództwo niemieckie wydaje już wieczorem, 8 września nawet ów, sławetny „komunikat specjalny” o zdobyciu Warszawy przez zagonę czołgów, stolica polski walczy. Skutecznie opiera się najeźdźcom. „Leibstandarte Adolf Hitler” musi się zatrzymać.

Jednocześnie z potęgającym się oporem obrońców Warszawy, dowództwo niemieckie zmienia plany dalszego „blitzkriegu”, wycofując się z Wielkopolski ku Warszawie Armia „Poznań”. Ba, rozpoczyna ona w nocy z 9 na 10 września ową, zaskakującą Niemców bitwę nad Bzurą.

„Od tego czasu — napisze „Panzermejer” — „Leibstandarte” będzie użyta do walki przeciwko Armii „Poznań”...

Dowódca Korpusu, generał Hoepfner, wita szpic „Leibstandarte” w Nadarzynie. Będziemy podporządkowani 4 dywizji pancernej.

„Leibstandarte” otrzymuje zadanie: opanować linię Kaputy — Oltarzew — Domaniew, przeciąć odwrót cofającemu się z zachodu w kierunku Warszawy nieprzyjacieli.

I batalion skręca na północ w kierunku Oltarzewa. Za motocyklistami i wozami zwiadowczymi posuwa się zmotoryzowana piechota. Pochłania ich zapadający zmierzch...

Aby wyjść na główną drogę (z Poznania do Warszawy — Z. S.), musimy przedzielić się przez przedmieścia Warszawy (tj. przez Pruszków — Z. S.). Od strony Oltarzewa słyszemy donośny ggiek bitwy. To I batalion dotarł już do głównej drogi odwrotu nieprzyjaciela i toczy walkę. Na szosie stoją obok siebie zbite kolumny.

Bezlitosna walka trwa aż do rana. O-

Dokończenie na str. 2

W walce z „Leibstandarte Adolf Hitler“

Dokończenie ze str. 1

bie strony wyczerpane nią, oczekują gnia, by uzyskać jakiś obraz sytuacji.

Swit, ujawnia straszliwy widok. Na drodze zostały zniszczone polskie kolumny wojskowe, ale również rozbite kolumny uciekinierów. Martwe i ranione śmiertelnie konie, wiszące w dyszli; oczekują strzału milosierdzia. Kobiety i dzieci zostały rozszarpane przez furie wojny... Ocaleni jeszcze uciekinierzy wyjaśniają z gorczy, że pochodzą z okolic Poznania...

Ta noc ujawniła po raz pierwszy prawdziwe oblicze wojny. Nie ma już różnic pomiędzy wojskiem a ludnością cywilną. Nowoczesna broń niszczy wszystko...

Oto jeszcze jedno usprawiedliwienie: winna temu technika. A wierność rozkazom Hitlera „zabijania bez litości wszystkich mężczyzn, kobiet i dzieci polskiej rasy i języka”?

Warto wskazać zwrócić uwagę na następujące informacje, zawarte w relacji „Pantermeyera”: napaść SS-mańskiego batalionu grenadierów pancernych (czyli zmechanizowanego), na zatłoczoną taborami uciekinierów szosę, spowodowała co prawda, duże straty bezpośrednio w miejscu pierwszego zaskoczenia. Ale też — tylko w tym miejscu. Napastnicy bowiem nie mogli działać bezkarnie. Napotkali na opór. W ten sposób pozbawieni zostali — jak to się mówi w fachowym, wojskowym języku — możliwości „rozwiązania sukcesu”: kontynuowania pokazowej, łatwej, jeszcze bardziej morderczej szarży wozów pancernych wzdłuż owej szosy. Zatłoczonego dnia (czy też nocy) kolumnami ewakuacyjnymi ludności cywilnej nie tylko pod samym Ołtarzewem, ale na całej jej długości: bodaj że od Wrześni po Warszawę. I — lecz więc istnieć ludzkich uratował ów opór, stawiony jednostce morderców z premedytacją pod Ołtarzewem?

Warto spojrzeć przy okazji także na mapę. Ów Ołtarzew, zachowany w pamięci „Pantermeyera”, niemal łączy się z drugą miejscowością: Ożarowem. Przy tym droga z Pruszkowa na północ (którą rozwija swe uderzenie I batalion „Leibstandarte Adolf Hitler”), dociera do magistrali poznańskiej nie w Ołtarzewie, lecz w Ożarowie.

W tej zaś miejscowości, tegoż samego 10 września, zginął — jak wiadomo — stawiając wraz z żołnierzami opór nacierającej kolumnie zmortyzowanej wojsk najedźdźczych — Marian Buczek. Komunistą, który wyrwał się z rawickiego więzienia 1 września i mimo rachunku krzywd nie pożałował krwi.

Dotychczas sensu jego żołnierskiej śmierci pod Ożarowem, dopatrywałam się tylko w zagrożeniu najeźdźczy drogi ku Warszawie. Relacja „Pantermeyera” pozwala określić śmierć Mariana Buczka, jako poniesioną w obronie bardzo konkretnych dla nas, ludzi. Uciekinierów z Wielkopolski.

ZBIGNIEW SZUMOWSKI

„POPIOŁY” — film produkcji polskiej. Scenariusz na podstawie powieści Stefana Żeromskiego: Aleksander Seibor — Ryński. Reżyseria: Andrzej Wajda. Zdjęcia: Jerzy Lipman. Scenografia: Anatol Radziwiłowicz. Kostiumy: Ewa Starowiejska i Jerzy Szeski. Muzyka: Andrzej Markowski. Wykonawcy: Daniel Olbrychski (Rafał Olbromski), Bogusław Kierc (Krzysztof Cedro), Piotr Wysocki (ksiądz Gintult), Beata Tyszkiewicz (księżniczka Elżbieta), Pola Raksa (Helena de With), Jan Koecher (generał de With), Władysław Hanuza (ojciec Rafała), Zbigniew Sawan (ojciec Krzysztofa), Józef Duriasz (Piotr Olbromski, brat Rafała), Zbigniew Józefowicz (Michcik), Janusz Zakrzewski (Napoleon Bonaparte), Stanisław Zaczek (ksiądz Józef Poniatowski), Jan Swiderski (generał Sokolnicki), Jan Nowicki (kapitan Wyganowski) i inni.

Czy można po obejrzeniu tego filmu nie porównywać go z literackim pierwowzorem? Ależ to po prostu niemożliwe, nie uszczęśliwia się przed tym zapewne żaden widz, który czytał dzieło Żeromskiego, byłoby przeło dziwne, gdyby unikał tego recenzent. Powiedzieć więc trzeba od razu, że porównanie wypada dla Wajdy korzystnie jeśli idzie o jakiś ogólny obraz powieści, jej klimat, jeśli idzie o pokazanie owych szczególnych losów polskich, o pokazanie polskiego pejzażu. Być może nie było dotychczas filmu tak nasyconego polskością jak „Popioły” Andrzeja Wajdy. Wierzę, że można by się spierać o szczegóły (bezcie o nich jeszcze mowa), ale przynajmniej filmowi sukces w odniesieniu do spraw zasadniczych.

Polski pejzaż, polskie obyczaje. Świątyni, rozchłany, rozszalały kulki otwierający film, potem zabawa dla uczestników kuliku wydana przez zubożonego szlachcica na zasadzie „zastaw się a postaw się”. Obie sceny dynamiczne, dobrze prowadzone, zwracają uwagę znakomicie zaprojektowane kostiumy (podobnie w całym zreszta filmie). I jakie polskie! Nocna wyprawa

Mieczysław Skąpski

LOSY POLSKIE

FILM

Rafała do Heleny i walka z wilkiem, próżniaczka i hulacka kompania księcia Pepi w Warszawie, swoista mieszanina wstecznicwa społecznego z patriotyzmem uosobiona w postaci starego Olbromskiego (którego Wajda stopił w jedno z powieściowym Nardzewskim), magnacki dwór Gintult, bal u Elżbiecie, stosunki między szlachtą a chłopstwem — poprzestańmy choćby na tych scenach i sprawach, które Wajda pokazał w sposób godny dzieła Żeromskiego.

I wreszcie chyba najważniejsze — polskie losy. Wtopione w znakomicie polski pejzaż i klimat obrazują dwie główne klasy społeczne ówczesnego polskiego społeczeństwa: szlachtę chłopów. Losem szlachty była wtedy wojaczka na wielu frontach Europy, wojaczka wyniszczająca materialnie i fizycznie, a jednocześnie także bezdziejna. W samej zaś Polsce zaczynała się wśród tej konserwatywnej w swej masie szlachty ruch ku nowemu, ku reformom społeczno-ekonomicznym (oalrz: piękna postać Piotra Olbromskiego). Patriotyczne festyny „do wolnej ojczyzny znalazły wtedy swoje uisście w kampaniach napoleońskich. Ale walczyć o wolną Polskę przyszło Polakom u boku Napoleona zaciągając ruchy wolnościowe w Hiszpanii i Santo Dominco. Ten trancizm polskiego losu nakazał Wajda doskonale, wstrząsająco.

Podobnie zreszta z losami polskiego chłopca zonniskowanymi w osobie Michcika. Jakże dramatyczne, powikłane, pełne sorczności są jego dzieje. Napiętnie karmia do złudzenia nadchodzącego pono wyzwolenia z ucisku pańszczyźnianego potem wy-

bijają z niego te złudzenia twardym kłiem, każą mu walczyć za wolność ojczyzny (wolność dla kogo?) i pracować dla odbudowy zrujnowanego wojną kraju (dla czyjego dobra?). Uciemnienie i upodlenie polskiego chłopstwa, ale także jego godność osobista i niechęć do zginania karku, uparte dążenie do wyzwolenia społecznego i wiara w nie — te sprawy Wajda pokazał nie gorzej chyba od Żeromskiego.

Pospieszamy się o szczegóły. Żeromski kończy powieść sceną zarzucania wojsk napoleońskich pod Orszą, przed marszem na Moskwę. Dominuje unięsienie, ufność, wiara w Cesarza i zwycięstwo. Wajda kończy film sceną ucieczki Cesarza po przegranej kampanii. Widzimy zdruzgotane resztki armii, zdruzgotani są też nasi bohaterowie, którzy podzielili losy napoleońskiej wyprawy. Rozczarowanie, rozwanie marzeń, klęska. Choćbyśmy się nie wiem jak zżymali na Wajdę nie sposób mu odmówić racji i oddania historycznej prawdy. Tak przecież było. I w taki sposób zamierzał Żeromski kończyć powieść, co zachowało się w jego późniejszej spuściźnie. Czy jednak trzeba było tak postąpić z bohaterami jak to zrobił Wajda? Choć nie mogę odrzucić logiki takiego zakończenia, widziałbym możliwość oszczędzenia Rafała.

Somosiera. Na pewno najlepsza scena batalistyczna filmu jedna z najlepszych w historii naszej kinematografii. Ale widz będzie zapewne szukał na ekranie wawozu. Tymczasem szarża odbywa się wyraźnie na równinie. Nic tu nie pomoże tłumaczenie, że ów wawoz miał parę kilometrów szerokości, że wreszcie scena odbywa się w sennych

majaczeniach Cedry, co pozwala na zamazanie szczegółów. Widz będzie miał tu prawo do rozczarowania, zbyt dobrze zna to miejsce z literatury.

Wreszcie dobór postaci. Poprzestańmy na jednej. Nie ma w filmie generała Dąbrowskiego, choć film otwiera leqiony śpiewające jego mazurka. Jest natomiast wyeksponowany gen. Sokolnicki, o którym przeciętny Polak wie raczej mało. Na pewno były możliwości zamiany tych dwóch postaci.

Ale dość tego. Otrzymujemy dzieło bardzo interesujące w wielu scenach znakomicie. Zawdzięcza to film także aktorom. Mimo że czołowe role powierzono debiutantom, bądź aktorom mało znanym. Może nawet dobrze się stało, bo zobaczyliśmy nowe, nieoqrane twarze, które już na zawsze będą nam obrazować Rafała, Krzysztofa czy księcia Gintult. Osobiciście te ostatnia postać wyróżniłbym szczególnie za stylowość. Świątyni jest młody Cedro, mazgajowały i romantyczny, ale także rycerski w poźrzebie, odważny i wierny. Rafał choć budzi podziw swoją zuchwałością i fizyczna sprawnością (polski Fanfan?), mniej przekonuje, za bardzo kieruje się w postępowaniu odruchami. Bardzo dobre są role druogoplanowe, że wspomni-my gen. Sokolnickiego, Piotra Olbromskiego, Michcika, Helenę i księżniczkę Elżbietę.

Film jest może nieco za długi, niektóre sceny, choćby bitwa pod Raszynem czy kulki można by z powodzeniem skrócić. Przez podzielenie na odrębne obrazy i brak jednolitego wątku fabularnego film traci na wartości i trochę nuży. Jest to jednak w sumie film wybitny i trzeba go koniecznie zobaczyć.

Od Mieszka do Nike

Nasze muzea, kolekcjonerzy, hobbyści, wszyscy, którzy interesują się numizmatyką, żyją przygotowaniami do obchodów tysiąclecia polskiej monety. Bo moneta, to nie tylko dźwięczący krążeł ułatwiający nabywanie doczesnych dóbr. Moneta, to również obiekt naukowych badań, ważne ogniwo rzeczowe w pracach historycznych, archeologicznych, z zakresu kultury materialnej itp.

A zatem, chcąc przekazać Czytelnikom informacje o polskich monetach, kierujemy się nie do banku, nie do mennicy, lecz do Muzeum Narodowego w Warszawie. Rozmawiamy z Danutą Albrycht-Rapnicką, adiunktem tegoż Muzeum.

— Może zacniemy tradycyjnie od Mieszko-wego denara?

— W naszym Gabinetcie Monet i Medali mamy cztery egzemplarze tej monety. Na adwersie, czyli stronie głównej, widnieje schematycznie przedstawiony szczyt świątyni oraz napis: Misico. Na rewersie, czyli na odwrocie, widać krzyż i dwie litery: E. E.

— Co można było kupić za jednego denara?

— Na to frapujące pytanie, niestety, nie odpowiem. Brak przekazów pisanych na ten temat. Jedynie operując analogią możemy stwierdzić, że denar miał dużą wartość. Motywy widniejące na nim były zaczerpnięte z mennictwa karolińskiego za pośrednictwem mennictwa saskiego. Autorami stempli musieli być dostojnicy kościelni, jako jedyni wykształceni ludzie tych czasów. Początkowo denary ważyły półtora grama, lecz z biegiem lat ich waga zmniejszała się, spadając poniżej 1 grama srebra. Okres denarowy kończy się z początkiem XIII wieku.

— A potem?

Następuje okres tzw. brakteatowy (od słowa bractea, po łacinie blaszka), czyli okres monet jednostronnych. Były one tak cienkie, że po prostu nie można było oznaczać ich dwustronnie.

— Zapewne Muzeum Narodowe tymi okazami może się również poszczycić?

— Oczywiście, zwłaszcza piękną kolekcją brakteatów „pokutniczych” Bolesława Krzywoustego, wybitnych w związku ze śmiercią jego brata, Zbigniewa.

— Jakże jeszcze eksponaty można uznać za specjalnie cenne?

— Na pewno wspaniały zbiór monet złotych. Zaczęto je bić systematycznie od czasów Zy-

Polska moneta ma tysiąc lat

gmunta Starego. Zakończono w... 1925 r. z okazji 900-lecia koronacji Bolesława Chrobrego. Oczywiście z okresowymi przerwami. Szczególnie piękne są monety renesansowe.

Do bardzo rzadkich zabytków należą też posiadane przez nas: szóstak litewski Zygmunta Augusta, dwudukat Zygmunta Starego bity w Krakowie, a także cenne monety Piastów Śląskich, m. in. XIV-wieczne dukaty jaworsko-świdnickie wzorowane na weneckich. Mamy też monety biskupów wrocławskich, wybijane w Nysie, wcześniejsze srebrne, późniejsze złote. Jeszcze chciałabym powiedzieć coś o sześciotalarówce Zygmunta III. Jest to prawdziwie dzieło sztuki. Moneta duża, o średnicy 69,2 mm. Na adwersie widnieje wspaniały portret króla. Również rewers jest małym arcydziełem sztuki zdobniczej. Autorem stempla był znakomity medalier gdański, Samuel Ammon. Tym samym stemplem bito także złotą studukatówkę, która powróciła do Krakowa wraz ze skarbami wawelskimi. Nasze Muzeum posiada taką samą monetę w srebrze.

— Czy zbiory numizmatyczne Muzeum nadal się powiększają?

— Tak. Oprócz egzemplarzy współcześnie wybijanych w Mennicy Państwowej, w dalszym

ciągu komisja zakupów wzbogaca zasób Gabinetu Monet i Medali. Dochodzą także znaleziska z wykopalisk archeologicznych.

— I to wszystko wymaga ciągłego opracowywania...

— Jest naszym marzeniem, by każda moneta miała własną kartę naukową. Równocześnie pracownicy konserwacji dbają o całość i „zdrowie” zabytków. Tylko złoto jest niezniszczalne, konserwacji podlegają więc monety srebrne i brązowe.

— Słowem, nawet w zacisznym azylu muzealnym monety nie mogą uniknąć zetknięcia z ludzką dłonią... A jeszcze na koniec pytanie: kiedy się zetkną z szeroką rzeszą zwiedzających?

— Gabinet Monet i Medali dysponuje własną salą ekspozycyjną — obecnie znajduje ją wystawa monet antycznych. Niemniej planujemy różne wystawy problemowe związane z monetami polskimi. Natomiast w przyszłym roku czeka nas wielka wystawa Tysiąclecia.

Rozmawiała:

IRENA SOLIŃSKA

do redaktora

• *AWA* •

Serdecznie dziękuję Redakcji za umieszczenie w Waszym poczytnym piśmie z 26 września br. mojej grafiki pt. „Teatr Polski w Poznaniu”. Dziękuję również za dotychczasową współpracę jak i za miłe podejście do pracy plastyka. Przy okazji pragnę jednak zwrócić uwagę, że do reprodukcji wkradł się błąd graficzny: kłisza została odwrotna prawdopodobnie przez nieuwagę pracownika chemigrafii, co spowodowało usunięcie tak charakterystycznego napisu znajdującego się na gmachu „NARÓD SOBIE”.

Z poważaniem

ZYGMUNT SAŁATA

artysta-plastyk

Przeglądamy Prasę

TURYSTYKA BEZ MITÓW I PRZESADÓW

Kilkakrotnie relacjonowaliśmy na tym miejscu dyskusje o rozwoju turystyki w naszym kraju. dyskusje, która przez kilka miesięcy toczyła się na łamach „Kultury”. Obecnie redakcja podsumowuje te debaty. Wniosek generalny z dyskusji „Kultura” formułę następującą: „Zainteresowanie rad narodowych turystyką i zobowiązanie do racjonalnego planowania, realizowania inwestycji, nie bez udziału „czynów społecznych”, żeśmy w tych sprawach w dół do gustu i stworzenie bodźców materialnych dla działalności rad w tym zakresie, a także bodźców dla aktywności inicjatyw indywidualnej. Stworzenie długofalowego, przekraczającego ramy 5-letki planu i programu centralnego rozwoju w Polsce tak, by nadchodzące i widoczne już w załączku zmiany charakteru ruchu turystycznego, były w tym planie i programie uwzględnione, włącznie z fenomenami dość przecież znanymi, jak wyz demograficzny, no i normalny nie „wyżowy”, ale znaczny w Polsce przyrost ludności.”

OBYWATELE „DRUGIEJ KATEGORII”

Tak zatytułował swa publikację Zygmunt Szeliga na łamach „Polityki” w ramach cyklu „Ko-

walscy bez kowali” poświęconego rozwojowi rzemiosła. Powszechnie mniema się, że głównymi hamulcami rzemiosła są lokale, zaopatrzenie i podalki. Autor udowadnia, że te przeszkody w obecnych warunkach są możliwe do usunięcia w stosunkowo niedługim czasie.

Problem lokalowy mogą rozwiązać sami zainteresowani, czerpiąc kredyty, którymi w każdej chwili dysponuje Ministerstwo Finansów, udzielając zarazem inwestorom ulg podatkowych. Sedno sprawy sprowadza się jednak do tego, że zainteresowani, a więc rzemieślnicy, nie kwapią się do brania pożyczek, nie chcą bowiem inwestować.

Zaopatrzenie rzemiosła w materiały i surowce przedstawia się źle, ale trzeba wiedzieć jednocześnie, że surowce i materiały marnotrawione w procesie produkcyjnym w naszej gospodarce w ciągu roku, pozwoliłoby wyposażyć w nadmiar materiału wielokrotnie więcej warsztatów niż ich obecnie mamy. Szanse wykorzystania tych materiałów właśnie przez rzemiosło, upatruje autor w konsekwentnej realizacji zasad nowego modelu gospodarki, proklamowanych przez IV Plenum KC PZPR.

Jeśli zaś idzie o podatki, intencje polityki państwa zmierzają (początek realizacji w przyszłym roku), do znacznego uproszczenia i złagodzenia ich w stosunku do dotychczas obowiązujących.

Gdyby jednak te wszystkie trzy problemy rozwiązać chociażby dzisiaj, to wcale jeszcze nie mielibyśmy owałtownej eksplozji rzemiosła. Główna przeszkoda upatruje autor w atmosferze ołdającej rzemiosło. Wpływa na nią sporadyczne wprawdzie, ale jednak zdarzające się,

przypadki niesłusznych domiarów, z których urząd wycofuje się dopiero po kilku miesiącach, jeśli rzemieślnikowi starczy sił, by dochodzić swoich racji.

Szeliga podnosi także następującą sprawę: rzemieślnicy muszą w wielu drukach urzędowych — zgodnie zresztą z prawdą — oświadczać, iż są podatnikami podatku obrotowego i dochodowego. To powoduje określone reperkusje: dla tej grupy ludzi przewidziano wyższe stawki czynszu, niezależnie od tego, ile faktycznie zarabiają; co najmniej utrudnia starania o stypendia dla dzieci, zasiłki czy inne formy opieki szkolnej.

„Decyzje i założenia ogólne i „odgórne” — wyznaczają tylko ogólne ramy klimatu — stwierdza autor. Antypody, czyli rzeczywisty klimat, to codzienna praktyka 150 tys. rzemieślników, kilkuset wydziałów finansowych, setek różnych władz i urzędów, uzurpujących sobie prawo klasyfikowania obywateli według kryteriów „przynależności podatkowej”.

Stąd walka o prawidłową atmosferę jest najważniejszym frontem całej rzemieślniczej batalii.

MASZ RACJĘ, MATURZYSTO!

Masz rację, maturzysto, pchając się do wyższych uczelni — pisze Mieczysław Józwiak na łamach „Tygodnika Kulturalnego”. Siwierdza on, że w demokratyzacji wiedzy wyprzedzamy sporo krajów, nawet najbardziej rozwiniętych, ale po zostaliśmy w tyle za innymi, zwłaszcza z obozu socjalistycznego. Nie zawsze można ocenić, kto

jest najzdolniejszy, kto może dać społeczeństwu najwięcej — tylko na egzaminie; często można ocenić to tylko w życiu. Ale w takim razie trzeba jak najszybciej otworzyć bramy wyższych uczelni. Stąd postulaty autora:

Za mało, jak na potrzeby kraju, kształcimy psychologów, socjologów i filozofów. Niektóre studia dzienne można by skrócić w czasie, co zresztą częściowo już się robi, by w ten sposób stworzyć miejsca na uczelniach dla nowych kandydatów; należałoby — zdaniem autora — zmienić przepisy o rekrutacji i studiach zaocznych w ten sposób, żeby pracujący mogli rozpoczynać studia zaraz po podjęciu pracy, przy czym studia te mogłyby wówczas trwać 2-3 lat dłużej niż obecnie.

Poza tym zwracamy uwagę na artykuł Jana Brodzkiego pt. „Jak między rodzicami a dziećmi...” (Tygodnik Demokratyczny), omawiający trudności rodzin które adoptują dzieci oraz publikację Włodzimierza Maciagą, który w „Zyciu Literackim” rozpoczyna druk eseju omawiającego dzieje literatury w Polsce Ludowej. „Współczesność” zamieszcza stenogram dyskusji, w której wziął udział znakomity pisarz radziecki Wiktor Szklowski, prof. Marja Janion, Henryk Boreza, Adam Galis i Andrzej Lam. „Kobieta i Życie” przynosi artykuł Hanny Strzeleckiej na temat mało poruszany w publikacjach prasowych — „Raz zupa, raz chleb z kielbasą — czyli o szkolnych stołówkach”. W „Zarzewiu” znalazłemu artykuł Edwarda Smolińskiego o działaczu z Mągowia w powiecie kaliskim — „Dyplomata w swojej wsi”.

LEKTOR